

HISTORIA STOLARZA: W DRODZE DO SIEBIE

Anna Fotyma

Streszczenie

Opowieść o stawaniu się Stolarzem i o odwadze, by spotkać się z samym sobą, pomimo strat a może nawet z powodu nich. Historia mężczyzny, który dorastał w cieniu nieobecności, uczył się świata bez rodziców, a z czasem – bez złudzeń. Z opuszczonego chłopca stał się człowiekiem, który z drewna i bólu potrafi zbudować coś trwałego. Drewno towarzyszy mu jak echo jego losu – twarde, cierpliwe, pełne ciepła. W zapachu warsztatu odnajduje sens. To opowieść o dorastaniu do wolności wewnętrznej – o człowieku, który zbudował nie tylko stolarnię, ale i odnalazł siebie.

Słowa kluczowe: przebudzenie, dojrzewanie, przemiana, sens, wolność, pokolenia

Poznałam go prawie siedem lat temu. Siedział z boku, cichy, milczący i łagodnie się uśmiechał. Kiedy zapytałam powiedział, że nie jest jeszcze Stolarzem, że na to miano trzeba zasłużyć, że to słowo nie przystoi każdemu.

„Trzeba sobie na nie zapracować – nie tylko umiejętnościami, ale podejściem, szacunkiem do drewna, pokorą wobec procesu” – mówił z powagą. Jakby tradycyjne stolarstwo było czymś zbyt ważnym, zbyt świętym, by nazwać siebie tym słowem zbyt wcześnie. A przecież drewno od zawsze w nim było – jego szorstka prostota i prawda. Podobnie jak wrażliwość, której nie da się udawać.

Urodził się na wschodzie kraju, na podlaskiej wsi – ziemi o wielu imionach i wielu ranach. W tej mozaice tożsamości, religii i tradycji, gdzie nic nie jest jednoznaczne, a ludzkie historie mają głębokie korzenie i splątane odnogi. Dorastał w prawosławnej

rodzinie, w skromnym, wielopokoleniowym domu, jako najmłodszy z trojga rodzeństwa. Tak jak w wielu innych miejscach – dzieci od rana do nocy biegały po podwórku. Spędzały całe dni bawiąc się nad rzeką lub w lesie, z dala od problemów dorosłego świata. Czasem uciekały od tego co działo się wewnątrz czterech ścian. Bywało ciężko, zdarzało się, że świat dorosłych odurzał się alkoholem lub milczał nie poruszając trudnych tematów. Ale były też jasne chwile, niosące ciepło i poczucie bezpieczeństwa: wakacyjne wyprawy z ojcem na ryby, wspólne majsterkowanie, które uczyło cierpliwości. Jazda motorowerem po leśnych drogach, gdy letni wiatr smagał po twarzy. Czułość dziadków, którzy pamiętali jeszcze inny świat. Własny pies i kot. I natura – ta nieoswojona, dzika, niepodzielona jeszcze płotami i mapami. Była placem zabaw i schronieniem. Bliskość puszczy leczyła to, czego dorośli nie potrafili nazwać.

Ale zdarzył się punkt zwrotny. Miał dwanaście lat, gdy rodzice podjęli decyzję o wyjeździe za granicę do pracy. „Na chwilę, póki nie staniemy na nogi” – mówili. Ta „chwila” rozciągnęła się na ponad dwadzieścia pięć lat. Dla dziecka czas jest bezwzględny. Dla dziecka „chwila” to dziś. I jutro.

Zostali sami – on, rodzeństwo i babcia. To ona, babcia, została naraz matką, ojcem, opiekunką i domem. Robiła, co mogła. Najlepiej jak potrafiła. Serca dziecka nie da się jednak oszukać. Najbardziej brakowało mu taty. Chłopiec potrzebuje ojca, by uczyć się siły, odwagi, poczucia, że ktoś stoi za nim jak mur. Tego zabrakło. Nie miał od kogo się uczyć, kogo podpatrywać. Nie było ramienia, na którym można się oprzeć, gdy uczy się być mężczyzną.

W sercu chłopca powstała ciemna szczelina. Miejsce bez światła, wypełnione pustką, tęsknotą i złością, która pojawia się, gdy nie potrafisz zrozumieć, dlaczego zostajesz opuszczony. Rana, której nie da się opatrzyć, kiedy ma się dwanaście lat. Chłopiec czuł się porzucony, nawet jeśli nikt tego słowa nie wypowiedział na głos. Nawet jeśli wokół powtarzano, że to wszystko „dla jego dobra”. Rodzice dzwonili, czasem przyjeżdżali na krótko. Z biegiem lat on zaczął jeździć do nich, na kilka tygodni, na wakacje – ale coś zostało utracone. W środku zamieszkało coś ciężkiego, czego nie potrafił nazwać. Wszystko wydarzyło się w po prostu, bez krzyków. Nie wiadomo skąd pojawiła się cicha rezygnacja. Milcząca pretensja, która wkradła się między zdania, między gesty. I została. Chłopiec czuł się samotny więc w głowie stworzył obraz świata, w którym każdy ma podobnie. Wymyślił, że inne dzieci też nie mają rodziców. To była jego prywatna iluzja normalności – sposób, by przetrwać.

Nauczył się radzić sobie sam. Egzaminy do szkoły średniej, matura. Dorastał właściwie tylko z babcią, bo rodzeństwo szybko się usamodzielniało, pozakładało własne rodziny. Samotność bywała ciężarem, ale i nauczycielką. Krok po kroku szukał swojej drogi. Był ciekawy świata. Skończył studia. Pracował, próbował

różnych zajęć, jakby chciał sprawdzić, w czym naprawdę bije jego serce. Sam, bez nauczycieli, wziął do ręki gitarę elektryczną i uczył się gry dźwięk po dźwięku, aż muzyka stała się jego językiem. Grał w zespołach metalowych – a sceny, płyty i koncerty były dowodem, że potrafi zbudować coś własnego, nawet jeśli droga była kręta. Z czasem założył rodzinę. Urodził mu się syn, a wraz z nim pojawiła się nadzieja, że będzie umiał dać to, czego sam kiedyś nie dostał. Małżeństwo jednak nie przetrwało. Po rozwodzie po raz kolejny zaczął układać w sobie wiele rzeczy na nowo.

Wtedy życie zatoczyło krąg i role się odwróciły. Babcia, która kiedyś go wychowywała, teraz sama potrzebowała jego opieki. Był przy niej do końca, w ostatnich godzinach trzymał ją za rękę. To doświadczenie było dla niego bolesne, ale i oczyszczające: poczuł, że może być obecny, że potrafi dać bliskość, jakiej sam nie zaznał w dzieciństwie.

Po jej śmierci czuł pustkę, znów ktoś ważny został mu odebrany. Nadal nie umiał tego nazwać. Wtedy wrócił do tego, co kiedyś dawało mu ukojenie – do drewna. W jego zapachu i ciężarze w dłoni znalazł to, czego potrzebował, by oddychać. Praca z drewnem stawała się rozmową – z tymi, których już nie było, i z samym sobą. Stolarstwo – prawdziwe, tradycyjne, pachnące drewnem i pracą rąk – jego rąk. Czytał, próbował, popełniał błędy i wyciągał wnioski. Trochę jak z nauką gry na gitarze: wszystkiego uczył się sam. Rozmawiał z bardziej doświadczonymi, podpatrywał, jak pracują. Z czasem poczuł, że to właśnie drewno staje się jego drogą. Pachniało spokojem i siłą. Było czymś stałym, co mogło przetrwać – w przeciwieństwie do wielu rzeczy w jego życiu. A także czymś znajomym: praca w samotności i ciszy nie była dla niego obca, wręcz przeciwnie, dawała mu schronienie. To wołanie stawało się coraz silniejsze. Zaczął odkładać każdy grosz na swoje marzenie – własną stolarnię. Budował ją samodzielnie, krok po kroku, ściana po ścianie, maszyna po maszynie, własnymi rękami. Postawił ją na ziemi obok domu rodzinnego i tam naprawdę poczuł się gospodarzem. Może wtedy narodziła się w nim myśl, że kiedy zbuduje stolarnię, to zasłuży na miłość ojca? Zaczął marzyć, że gdy rodzice kiedyś wrócą – będzie pracował z ojcem. Odbudują coś, co zostało złamane, przerwane, że dostanie tę miłość, której tak bardzo potrzebował. Nadrobią stracony czas i wreszcie usłyszy te słowa, których brakowało: „Widzę Cię Synu. Jestem z Ciebie dumny.”

Gdy Stolarz miał prawie czterdzieści lat, rodzice wrócili do domu rodzinnego. Poczuł się wtedy odrodzony, jakby historia wreszcie miała zatoczyć koło. Obudziły się w nim wielkie nadzieje, że wreszcie dostanie to, na co czekał całe życie. Że da się odwrócić czas, że można połączyć to, co zostało przerwane. Rzeczywistość szybko pokazała, że te nadzieje były płonne. Powrót ojca nie miał mocy, by w magiczny sposób wypełnić pustkę z dzieciństwa. Słów, których nie usłyszał wtedy, nadal brakowało. Nie było rozmowy, w której padłyby słowa „przepraszam”. Nie było prób nazwania

tego, co kiedyś bolało najbardziej. O opuszczeniu się nie mówiło, bo nikt nie umiał na ten temat rozmawiać.

Ale ojciec był dumny z syna, pomagał w warsztacie, ile sił mu starczało. Potrafił powiedzieć, że syn poradził sobie pięknie, że stworzył coś trwałego. Byli razem. I choć nie wszystko wyglądało tak, jak w wyobrażeniach, przez chwilę Stolarz czuł, że ma swoją wytęsknioną przystań. Aż znowu nadszedł moment, który wszystko zmienił.

To miał być zwyczajny, piękny dzień – taki, który kończy się obiadem i rozmową przy stole. Stolarz i ojciec pracowali razem w warsztacie pachnącym drewnem, rozmawiali o drobiazgach, o tym, co jeszcze trzeba zrobić. Po pracy siedli do obiadu. Ojciec nagle zrobił się blady, jakby cały ciężar lat spadł na niego w jednej chwili. Powiedział, że źle się czuje, i wstał od stołu. A potem runął na ziemię. Stolarz rzucił się na ratunek. Klęczał obok niego i reanimował własnymi rękami, naciskając serce, które już nie chciało pracować. Nie wiedział ile to trwało, widział tylko jak życie ojca wymyka się między jego palcami. Drewno, które jeszcze chwilę wcześniej było przedmiotem ich wspólnej pracy, teraz stało się niemym świadkiem końca. Nic nie mógł zrobić. Ojciec zmarł na jego rękach.

Przez jakiś czas po pogrzebie Stolarz chodził do pracy tylko po to, żeby czymś zająć ręce i nie myśleć. Pojawiał się w warsztacie jak ktoś, kto odruchowo wraca do znanego miejsca. Wykonał kilka mebli, ale wszystko działo się niczym w innym wymiarze. Patrzył na drewno, jakby widział je przez szybę. Nie mógł znaleźć sensu, nie miał siły rozmawiać z ludźmi. Męczyły nawet rzeczy, które wcześniej dawały ukojenie. W głowie miał ponownie znaną, pustą przestrzeń, w której tłukło się echo niedokończonych rozmów.

Jednak kontakt ze śmiercią domagał się odpowiedzi na pojawiające się coraz częściej pytanie: *„Czy jestem gotów przestać udawać, że mnie nie boli?”* A zaraz potem inne, jeszcze głębsze: *„Kim właściwie jestem? Nie jako syn. Nie jako rzemieślnik. Nie jako ten, który ‘powinien’ i ‘musi’. Ale jako człowiek?”*

Po raz pierwszy w życiu pozwolił sobie na przeżywanie bólu, rozpacz, osamotnienia. Z czasem zrozumiał, że to podwójna żałoba – po ojcu oraz po swoim dzieciństwie. Po chłopcu, który całe życie czekał, aż ktoś go zauważy, więc stał się zaradnym, silnym, niezależnym. Ale ta siła była zbroją, a nie wolnością. W tamtym momencie stanął przed wyborem: zamknąć serce jeszcze mocniej albo otworzyć je na życie takie, jakie jest. To był początek wolności – odkrycia, że nawet w największym bólu ma wybór, jaką postawę wobec niego zajmie. Zaczął widzieć więcej. Uświadomił sobie, że jego próby udowadniania swojej wartości były rozpaczliwym wołaniem: *„Zobacz mnie tato! Zostań.”* Budował stolarnię jak pomnik miłości, której nie dostał. Każdy stół, każda półka miały być dowodem, że istnieje i że

ma znaczenie. Ale to było tylko złudzenie. Żaden mebel nie mógł zapełnić pustki z dzieciństwa. Żaden warsztat nie mógł cofnąć czasu. Ojciec, nawet obecny po latach, nie mógł uleczyć tego, czego zabrakło, gdy było najbardziej potrzebne.

Stolarz odkrył, że był opuszczony dużo wcześniej, już przed wyjazdem rodziców. Najmłodszy, samotny, niewidzialny, pomijany, bez prawa do swojego zdania. Matka nie potrafiła okazywać uczuć, sama miała trudne dzieciństwo. Zrozumiał w końcu, że była samotna jeszcze bardziej niż on. Nie miała zasobów, by dawać ciepło, bo sama nigdy go nie otrzymała. Tę samotność i potrzebę bliskości skrywał w sobie przez lata, jak ciężar, którego nikt nie pomógł mu zdjąć. Babcia, niosąc przekaz swojego pokolenia, naznaczonego brakiem i strachem o przetrwanie, uczyła, że uczucia trzeba chować głęboko, a wartość człowieka mierzy się tym, ile potrafi wytrzymać. To dziedzictwo było jak niewidzialny ciężki plecak, który dźwigał przez lata.

Stolarz zauważył, że przez lata funkcjonował jak maszyna – sprawny, skuteczny, odcięty od siebie. Chował swoje potrzeby, tłumił złość i udawał, że wszystko jest w porządku. Emocje były niebezpieczne – prowadziły do zależności, a ta do bólu. Nauczył się nie czuć, żeby przetrwać. Zbyt długo uciekał w działanie. Z czasem zaczął rozpoznawać w sobie mechanizmy, które wydawały mu się naturalne: chłód tam, gdzie myślał, że panuje spokój, napięcie tam, gdzie wierzył, że kontroluje sytuację. Odkrył, że przez lata żył w zafałszowanym obrazie rzeczywistości – a tym samym z zafałszowanym obrazem samego siebie. To było jak przebudzenie, jak powolne wychodzenie z transu. Opadały iluzje. Stopniowo, warstwa po warstwie. A pod nimi odsłaniał się on sam – w całej kruchości, ale też w całej prawdzie. I właśnie w tym miejscu – w rozpacz i bezradności – zaczęła się jego droga do wolności. Nie głośna i spektakularna, ale cicha. Taka, która przychodzi, gdy uczysz się oddychać dla siebie, a nie dla innych. Gdy zaczynasz dostrzegać wartość zwyczajnych chwil, które wcześniej uciekały.

Minęło kilka lat.

Pierwszy raz budował wszystko od początku już nie dla kogoś – tylko dla siebie.

Dziś niczego nie udowadnia. Zrozumiał, że to on decyduje, jakie znaczenie nada własnej historii. Jego dłonie są silne, ale nie zaciskają się ze złości. Są jak drewno, w którym pracuje – ciepłe, szorstkie, pełne śladów czasu. Jest w nich spokój – coś, czego szukał całe życie. Odkrył, że źródło siły leży w tym, że potrafi być ze sobą w prawdzie. Nauczył się cenić i lubić siebie takim, jakim jest. To wykuwało się powoli – między bólem, a drewnem, między stratą, a nadzieją. To było najtrudniejsze – zobaczyć, że prawdziwa siła nie polega na tym, by nie czuć, ale na tym, by pozwolić sobie czuć wszystko. Że odwaga to nie zaciskanie zębów, ale zgoda na własną wrażliwość. Że wartość człowieka nie rodzi się z tego, co robi, co udowodni, czyje oczekiwania spełni – ale z samego faktu istnienia.

Stolarz nadal kocha swoje rzemiosło, ale wie, że nie ono definiuje jego wartość. Dziś pracuje inaczej. Szanuje siebie i swoje granice, słucha własnych potrzeb, pielęgnuje relacje. Wie, że prawdziwa siła nie tkwi w nieustannej walce. Z czasem stał się cenionym specjalistą, do którego inni przychodzą po radę i inspirację. Zaczął uczyć rzemiosła. Przekazuje uczniom nie tylko umiejętności i szacunek do materiału, ale i mądrość, którą zdobył własną drogą. Pokazuje im, że człowiek ma prawo do odpoczynku, do słabości, do łagodności wobec siebie. Uczy, że właśnie w tych zwyczajnych chwilach – w rytmie pracy, w zapachu drewna, w oddechu po wysiłku – kryje się coś najważniejszego: poczucie, że życie naprawdę należy do nas. Stolarz wie, że nie cofnie przeszłości. Nauczył się jednak dawać sobie przestrzeń, w której nie ma już milczenia, odrzucenia i lęku. Daje światu siebie prawdziwego, uważnego, odważnego w swojej wrażliwości. Czasem odkłada narzędzia, siada na motocykl i odjeżdża daleko, by spojrzeć na świat z dystansu. Wie, że niczego już nie goni – tylko żyje. Tu i teraz. Wolność nie przyszła jako nagroda, ale jako świadomość, że można żyć inaczej. Nie jako bohater, nie jako ofiara, nie jako syn, który w końcu zasłużył. Ale jako człowiek, który sam decyduje jakie będzie jego życie. I to wystarczy.

O autorce

Anna Fotyma – psycholog. Obserwatorka tego, co ujawnia się w świetle i cieniu ludzkiego doświadczenia. Szuka prawdy o człowieku – tej cichej, ukrytej pod warstwami przystosowań i oczekiwań. Wierzy, że autentyczność jest formą odwagi i początkiem prawdziwego spotkania – z sobą samym i z innymi. Bliskie są jej tematy wolności, uważności i poczucia sensu odnajdywanego w codzienności.

Anna Fotyma
@annafotyma

Otrzymano: 16.09.2025
Zaakceptowano: 11.11.2025
Opublikowano: 19.12.2025